

# IRYTUJĄCY

## *Pan Hunter*

Oboje chcą kupić tę samą nieruchomość. Nie mają pojęcia,  
w jak niebezpieczną i ekscytującą grę wkraczają.



NATALIA DZIADURA  
LILIANA WIĘCEK



Copyright © 2022

Natalia Dziadura & Liliana Więcek

Wydawnictwo NieZwykłe

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Elżbieta Wołoszyńska-Wiśniewska

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-234-1

**NATALIA DZIADURA & LILIANA WIĘCEK**

**IRYTUJĄCY  
PAN HUNTER**

**OŚWIĘCIM 2022**



# Rozdział 1

## Adam

Przed odjazdem otwieram notes, sprawdzając, czy aby czegoś nie pominąłem. Jest dobrze. Jestem zorganizowany i jeśli kiedyś sądziłem, że prowadzenie jednego hotelu mnie przerośnie, to byłem w błędzie. Mając na własność piwnicę w Londynie, można się wzbogacić, należy tylko wiedzieć, na co ją przeznaczyć. Sam dziesięć lat temu zacząłem od zrujnowanej kamienicy.

Zerkam na przyjaciela od jakiegoś czasu pełniącego funkcję mojej prawej ręki. Łysy, lub jak kto woli Marek, jest Polakiem, który oprócz pracy dla mnie, prowadzi firmę remontowo-budowlaną w Anglii. Kiedy trafiliśmy na siebie, dopiero zaczynał działalność gospodarczą. Byłem jego pierwszym zleceniodawcą. Nigdy nie miałem z nim problemu, wykonywał swoją pracę tanio, dobrze i niemal jak dla siebie. Dlatego też nasza współpraca szybko przeistoczyła się w przyjaźń. Przerobił moją starą kamienicę w przyzwoity Bed & Breakfast. W kolejnych latach kupiłem następne budynki, powtórzyliśmy czynności renowacyjne i dzięki temu aktualnie jestem właścicielem czterech niewielkich hoteli B&B.

Ostatnimi czasy zacząłem rozmyślać nad kolejną inwestycją i – zbiegiem okoliczności – tydzień temu wpadł Łysy z plikiem zadrukowanych kartek, zasiewając w mojej głowie pomysł na szaloną, i – nie wiedząc czemu – bardzo pociągającą inwestycję poza granicami Anglii.

– Nie sądziłem, że ten pomysł aż tak ci się spodoba – odzywa się, patrząc na trzymane w dłoni zdjęcia mojego (mam nadzieję), nowego nabytku. – Znam twój tryb życia i przyzwyczajenia. Pomysł na zakup pałacyku otoczonego kilkuhektarowym parkiem na polskim zadupiu to była raczej propozycja dla jaj – oznajmia, unosząc brew.

– Znasz mnie od dziesięciu lat. Ze mną w temacie interesów nie ma żartów – odpowiadam, wymownie prezentując swój bilet lotniczy do Polski. – Zadupie? Jeszcze zapłacisz mi podwójną cenę, żeby przespać się w ciszy na swoim rodzimym zadupiu.

– Od zawsze byłem pewien, że wiesz, co robisz, tym razem mam wątpliwości, ale spoko. Twój czas, twoja kasa – stwierdza przyjaciół.

– Nie zrób dziecka żadnej z moich pokojówek. Zastępuj mnie godnie. – Parskam śmiechem, przekazując interes kumpłowi, który zastępuje mnie jako właściciela, ale praktyczne dowodzenie na miejscu przejmuje Lisa, będąca głównym kierownikiem pracowników wszystkich czterech hoteli.

– Jesteś w ich oczach bezkonkurencyjnym sukinsynem – odbija piłeczkę, myśląc o moich podwładnych.

– I tak ma zostać – oznajmiam. – Gdyby Lisa miała jakiś problem, będzie prosiła cię o pomoc – informuję.

– Szkoda, że nie potrzebuje ode mnie innego rodzaju pomocy – wtrąca Łysy z głośnym westchnieniem.

Wiem, że od dawna ta latynoska piękność chodzi mu po głowie. Niestety, wiem też, kto chodzi po głowie jej.

– Cóż. Będę intensywnie ćwiczył i jak wrócisz, to jednym palcem położę cię na macie.

– Możesz pomarzyć – odpowiadam, odnosząc się do konieczności opuszczenia kilku treningów. – Trzymaj kciuki za powodzenie. Mam dobre przeczucie.

– Nie mówię „nie”. Gdybyś miał problemy z dogadaniem się, to dzwoń. Potłumaczę i spokojnie... ogarnę też doliczenie sobie

tego do wypłaty – wzdycha. – Muszę jechać na odbiór domu w Clampton. – Klepie mnie w ramię, obserwując, jak uzupełniam walizkę swoimi rzeczami.

– Zobaczymy. Przyjrzę się temu z bliska i wtedy podejmę ostateczną decyzję.

– Pierdzielisz. Ty już ją podjąłeś – zauważa. – Tylko żebyś się nie dał wychujać. Wystawili to za około sześćset tysięcy funtów. Trzy miliony złotych to dobra cena, ale jak zobaczą napalonego Angola, to nie zdziw się, jeśli ta poszybuje w górę. Podejdz do tematu na chłodno i weź pod uwagę to, że potrzebny będzie jakiś remont. Zdjęcia zdjęciami a rzeczywistość rzeczywistością – rzuca dobrą radą.

– Masz rację. Zamierzam udać obojętność w temacie zakupu.

– I to jest dobre podejście, bo nie miej złudzeń, Polak też potrafi. I, przyjacielu, teraz ostatnia wskazówka z moich rodzinnych stron – podejmuje. – Jeśli pojedziesz drogą przez niezamieszkały leśny teren, to uważaj na dziki, jelenie, sarny i laski, które wymachują rączką. Wyglądają, jakby łąpały stopa, ale tak naprawdę nie łąpią. Jeśli się zatrzymasz, to pamiętaj, czy skorzystasz z usług, czy nie, będziesz musiał zapłacić, bo z krzaków może wypaść dziki nieokiełznany leśny goryl i wtedy... – wymownie strzela wszystkimi palcami dłoni – ...będziesz musiał udusić go swoim czarnym pasem.

– Nie ma to jak kumpel... Dzięki stary. Masz jeszcze jakieś rady z życia wzięte? – dopytuje.

– TAK. Jeśli już udusisz tego goryla, a laska okaże się rudowłosym króliczkiem, to wtedy rozważ wszystkie za i przeciw, bo prawdopodobnie w drodze do nowego zamku nadarzy ci się okazja, by zdobyć pierwszy i niezapomniany szczyt. – Napakowany kark, szczerząc wszystkie zęby, uśmiecha się jak skończony kretyn.

– Dlaczego akurat rudowłosy? – Założę się, że zdziwienie odmalowuje się na mojej twarzy.

– Bo tamtejsza legenda głosi... – Naznacza w powietrzu znak koła, mówiąc niskim tajemniczym tonem. – Że gdzie rdza na dachu... – teatralnie gładzi swoją łysinę – ...tam wilgoć w piwnicy... – Przesuwa ręką po jajach, nabijając się na całego.

– Że też to właśnie tobie zostawiam hotele pod opieką...  
– Kręcę z politowaniem głową.

– Na razie, stary! – Otwiera drzwi i zastyga w progu. – Ej. A powtórz „Żerardówka” – wymawia nazwę miejscowości, do której jadę.

– Zełdowka – mówię, pokazując mu środkowy palec, wtedy zamyka za sobą drzwi, a jego śmiech słyszę jeszcze przez chwilę.

– Zełałdowka – powtarzam sam na sam pod nosem.

Po kwadransie, gotowy, by ruszyć w podróż również wychodzę ze swojego pokoju. W każdym z hoteli mam prywatny kąpiel. Rzadko wracam do domu pod Londynem. Nie mam czasu na dojazdy.

Zostawiam szarą kopertę dla Lisy na blacie recepcji. Pracująca na niej nowa cycata blondynka szczyrzy się do mnie, jakby to miało jej zagwarantować podwyżkę lub miejsce w moim łóżku.

Nie odwzajemniam uśmiechu. Nie wchodzę w żadne koleżeńskie relacje ze swoimi pracownikami, których znaczny procent to oczywiście kobiety. Jedyne wyjątkiem stanowi osoba Lisy, z nią kontakt jest swobodniejszy, bo w pełni na to zasługuje. Jest wieloletnim rzetelnym pracownikiem i traktuje moje hotele, jakby to był jej własny biznes. Podejrzewam też, że nie robi tego dla ambicji zawodowej. Nie jestem ślepy i domyślam się, że podkochuje się we mnie. Nie zmienia to jednak faktu, że nasza relacja była, jest i będzie dla mnie czysto służbowa. Praca to praca i zawsze powinien być wyraźny podział między życiem prywatnym a zawodowym. Mam złotą zasadę, by nie srać do własnego gniazda, nawet jeśli gównem byłoby z koronkowych majtek o zapachu Diora. I to się tyczy wszystkich. Bez wyjątku, nawet dla Lisy.



Patrzę na zegarek i wychodzę na zewnątrz. Jakiś palant zasta-  
wił wyjazd, parkując centralnie przed moim autem. W Londynie  
to norma, która powinna być karana krzesłem elektrycznym. Za  
kwadrans mam spotkanie w Barclays Bank w sprawie ewentual-  
nego przewalutowania środków, po którym muszę jechać prosto  
na Stansted.

Klnę pod nosem, kalkulując każdą straconą minutę. Nie lubię  
takich niespodzianek. Schodzę po schodach, stawiam walizkę  
na betonie i obchodzę chujowo zaparkowany samochód, jedno-  
cześnie rozglądając się za jego właścicielem. Zaglądam w okno  
feralnego pojazdu. Na przednim siedzeniu pasażera spoczywa  
przewrócona czerwona torebka, obok której leży coś co przy-  
wodzi na myśl kobiecie malowidła, kawałek kabla od ładowarki  
i dwa tampony.

Po kilku długich minutach zauważam laskę w czerwonych  
szpilkach i czarnej obcistej sukience. Przystaje obok mnie, nie  
przystając gadać przez telefon. Przyciska go ramieniem do ucha,  
śmiejąc się w głos, i grzebie w torebce trzymanej w dłoniach.

*Na co im dwie torebki?* myślę. Wygląda na to, że to jej samochód.  
Mówię do niej grzecznie, że to prywatny parking, ale zajęta roz-  
mową telefoniczną nawet mnie nie słyszy. Zamiast kluczyków  
do auta wyciąga szminkę i przeglądając się w odbiciu samocho-  
dowej szyby blokującego mnie auta, maluje usta.

Chuj mnie strzela coraz bardziej, bo ewidentnie się jej nie spie-  
szy. Moje opanowanie się kończy, zerkam na okno hotelu i do-  
strzegam stojące w nim dwie rozbawione pokojówki. Gdy tylko  
rejestrują, że na nie patrzę, znikają błyskawicznie. Kobieta koń-  
czy rozmawiać w momencie, kiedy moje oczy dosłownie płoną.  
Zerka na mnie, jakby dopiero mnie zauważyła, powoli przejeź-  
dzając wzrokiem po moim ciele.

– Heeej – przeciąga, obdarzając mnie kokieteryjnym spojrze-  
niem i zakłada kosmyk włosów za ucho.

– Zastawiła pani wyjazd – zauważam oschle.

– Tak? – Rozgląda się niewinnie dookoła. – A co robisz dziś wieczorem? – pyta nagle, trzepocząc rzęsami i wypinając piersi.

*Będę dogłębnie przeglądał CV kandydatek do pracy, żeby nie trafić na taką jak ty.*

– Odjedzie pani swoim autem? – Niemal kipię ze złości, wykorzystując opary rezerw cierpliwości i po raz kolejny patrzę na zegarek.

– Jasne. Jestem Amy. To co robisz dziś wieczorem? – Idzie w zaparte.

– Nie jesteś w moim typie, więc nawet wałąc konia, nie będę myślał o tobie – rzucam poirytowany do granic możliwości, *choć* ta laska byłaby idealna na weekendowy szybki jeden raz.

– Palant! – rzuca, zmywając słodki uśmiech, i wreszcie wyciąga kluczyki.

Obdarza mnie urażonym spojrzeniem, gładząc włosy, zawiesza torebkę na ramieniu i wsiada nie do auta, które blokuje mój wyjazd, a do innego, zaparkowanego tuż obok mojego, i po kilku sekundach po prostu odjeżdża. Zaciskam usta i nie mając wyjścia, wybieram numer, by zadzwonić po taksówkę.

\*\*\*

Spóźniam się na umówione o ustalonej godzinie spotkanie w banku, więc muszę czekać na wolnego pracownika.

Tuż po załatwieniu formalności, łapię kolejną taksówkę, a jej kierowca całą drogę na lotnisko nawija o polityce i o tym, jak ze Stanów Zjednoczonych trafił do Wielkiej Brytanii. Puszczam mimo uszy głupoty, jakie wygaduje o kraju, w którym się urodziłem. Nie odzywam się, tylko słucham. Kiedy gość wyczerpuje tematy polityczne, zaczyna prywatne wywody o trudzie wychowania szóstki dzieci w brytyjskich realiach i nieudanym pożyciu seksualnym. Mam ochotę wysunąć głośny wniosek, ale w duchu

stwierdzam, że tak naprawdę mam to w dupie. Męczy mnie poznawanie czyjeś życia i nie mam zamiaru w nie brnąć.

Byłem inny, przeprowadzając się ze spokojnego przedmieścia Chicago do zatłoczonej stolicy Anglii. Lubilem ludzi, hotele są tego dowodem, zauważyłem tylko, że po niedługim czasie zaczęli mnie irytować. I to nie tyle turyści, co mieszkańcy. Może dlatego, że w Londynie jest za duży wachlarz poglądów lub to ja nabywam skurwysyństwa, jakiego przykładów tu mam pod dostatkiem.

Zajmuję miejsce w samolocie, zakładam słuchawki i na dwugodzinny lot do Wrocławia przymykam oko.

\*\*\*

Budzi mnie dotyk na ramieniu. Otwieram oczy i pierwsze, co zauważam, to plastikowy uśmiech stewardessy. Pokład opustoszał i orientuję się, że przespałem całą podróż. Zabieram bagaż podręczny, wychodzę z samolotu i idę po odbiór walizki.

Mając na uwadze fakt, że nie znam miejscowości, do której jadę, a warunki mogą być trudne, wypożyczam SUV-a. Wstępuję w nawigację niełatwą do powtórzenia nazwę miejscowości, zakładam okulary przeciwsłoneczne i wiedziony anglojęzycznym nawigatorem ruszam w nieznaną.

Do celu mam około stu kilometrów. Pierwsze sześćdziesiąt odbywa się po cywilizowanych drogach wśród zwyczajnych niewielkich miejscowości. Kolejne kilometry zaś, zaczynają budzić moje wątpliwości. Być może to przez przeskok z betonowej londyńskiej ciasnoty na zasiane zielenią pustkowia, które kojarzą się mi z młodzieńczymi latami spędzonymi u dziadków na amerykańskim ranczo. Nieważne.

Coraz wyraźniej czuję, że miejsce, które planuję kupić, ma tak zwany „potencjał ciszy”, w którą ucieka zdecydowana większość najbogatszych ludzi na świecie.

Jadę przez zielone odludzie i podoba mi się to coraz bardziej. Nie ma tłumów, tłoku, korków, świateł, upominającego trąbienia i smrodu spalin. Wyłączam muzykę, odsuwam szybę i słyszę tylko odgłos silnika i świst wiatru.

Zostawiam za sobą kolejne kilometry i wreszcie na poboczu widzę zarys pierwszego człowieka. Kiedy dojeżdżam bliżej, widzę wymachującą dłonią kobietę w kapeluszu.

– No na pewno... – mamrocę pod nosem. Nie zwalniam. Przyspieszam, nawet nie patrząc w jej kierunku.

## Catherine

Mam wady, jedną z nich jest to, że nigdy nie nauczyłam się prowadzić samochodu, podchodziłam do tego kilka razy, ale gdy tylko dotykam rękami kierownicy, mam paraliż. Strach mnie obezwładnia, sprawiając, że nie jestem w stanie nic zrobić. Miałam pięć lat, gdy moi rodzice zginęli w wypadku, a ostatnie, co widziałam, zanim straciłam przytomność, to dłonie mojego taty zaciśnięte na kierownicy. Czasami śnię o tym, teraz już rzadziej, że to ja ją trzymam. Czy komplikuje mi to życie? Trochę. Z drugiej strony już podczas studiów odkryłam coś wspaniałego. Podróżowanie z plecakiem, wyjazdy wakacyjne tam, gdzie rzuci mnie los. Co ciekawe tak właśnie poznali się dziadkowie. Ona łapała „stopa”, on się zatrzymał, może dlatego mam do tego taką słabość?

Rzeczy nadałam kurierem z Francji, część do hotelu, część czeka jeszcze, abym dopięła umowę kupna – wtedy firma zajmie się wysyłką pamiątek i moich osobistych szpargałów. Sama mam plecak, wiosna jest piękna, a dzięki temu, że nie mam przy sobie praktycznie nic, odprawy przechodzę błyskawicznie.

Przybywam wcześniej, spotkanie z właścicielem Żerardówki mam dopiero jutro wieczorem, więc bez problemu powinnam

dotrzeć do pałacyku stopem lub autobusem, jeżeli to pierwsze nie wypali.

Taksówka wywozi mnie z miasta, a ja przez kwadrans tłumaczę kierowcy, że owszem – chcę, aby mnie wysadził gdzieś na drodze wylotowej. Potrzebuję odetchnąć, przez chwilę poudawać, że nie mam w życiu żadnych obowiązków i jestem na wakacjach.

Jeżeli uda mi się kupić pałac, będę tam uziemiona przez najbliższe lata.

Gdy odkryłam Żerardówkę, zakochałam się w niej od pierwszego wejrzenia. Wystarczyły tylko zdjęcia, a potem przez kilka godzin siedziałam z mapami Google i oglądałam tereny. Samo miejsce jest niesamowite, ale to przestrzeń stanowi jego wartość. Coś, czego klienci z Zachodu coraz częściej szukają. Azyl, spokój. Dobra kuchnia.

Z mojej perspektywy fakt, że jest daleko od większych miast, stanowi atut, może tutaj jeszcze nie ma mody na ucieczki z metropolii, ale wielu moich bogatych klientów chętnie to właśnie robi. Ucieknij odpocząć, i to w luksusie. W głowie mam setki pomysłów, na koncie wystarczającą kwotę, aby to zrealizować. Pałac wystawiono za śmieszne pieniądze sugerujące, że chcą się go pozbyć.

– Dziękuję, do widzenia! – Macham taksówkarzowi, który ewidentnie ma mnie za niespełna rozumu. *Może coś w tym jest?*

Idę z plecakiem, samochodów jeździ jak na lekarstwo, ale udaje mi się przemieszczać. Co wioskę, po kilka kilometrów. Pytam o Żerardówkę i słyszę różne historie.

Kobieta, która mnie podwozi i zaprasza do siebie na kawę, miała tam wesele dziesięć lat temu. Nie mówię, że chcę kupić pałacyk, mój wiek sprawia, że wyglądam bardziej jak ktoś, kto szuka pracy kelnerki. Mam dwadzieścia siedem lat, ale gdy się nie pomaluję i mam na sobie bluzę oraz trampki, wyglądam na jakieś dwadzieścia. To zasługa genów dziadka, który w dniu

śmierci – mając osiemdziesiąt osiem lat – wyglądał na pięćdziesiątkę i łamał serca wszystkim kobietom z okolicy.

– Myślałam, że zamykają – zauważyła Monika, dolewając nam kawy.

Siedzimy u niej w prześlicznym ogrodzie, urządzonym w stylu rustykalnym tak, że czuję się, jakbym przeniosła się na dawną polską sielską wieś.

– Tam było ładnie, ale zapuścili to strasznie. Szkoda, bo widziałam kiedyś historyczne zdjęcia parku i terenu. Było niesamowicie. Nie wiem, czy znajdziesz tam pracę.

– Jak nie tam, to gdzie indziej – przyznaję swobodnie. – A jeżdzenie? Dobrze było? – pytam, a ona parska.

Godzina, tyle zostaje, plotkując o jej ślubie, sukience, braku klimatyzacji na sali balowej, pleśni w pokojach i zimnej wodzie, którą zafundował jej właściciel na weselu, bo ogrzewanie siadło. Opowiada mi o ciotce Jance, która się upiła i prawie utopiła w fontannie, o szcurze, który przebiegł po środku sali, gdy wjeżdżali z tortem, i o tym, że to był najpiękniejszy dzień jej życia. Notuję w pamięci wszystko, a gdy się żegnamy, mam jej telefon, gdybym potrzebowała pomocy. Chyba dlatego lubię jeździć stopem.

Podrzuca mnie kawałek na ostatnią „prostą” do Żerardówki i przeprosza, że mnie nie podwiezie, ale musi lecieć po dzieci.

Zostało mi dwadzieścia kilometrów. *Pikuś.*

Pięć kilometrów dalej odkrywam, że to musi być droga donikąd. Nie mija mnie żaden samochód. Ani jeden.

Po ośmiu kilometrach chce mi się śmiać z siebie, jestem spocona, włosy wypadają mi spod kapelusza, plecak jest cięższy z każdym krokiem, a dwa samochody minęły mnie, jadąc w niewłaściwą stronę, a jeden jedyny, jaki jechał we właściwym kierunku, nawet nie zwolnił. Idiota pędził tak, że możliwe, że znajdę go na drzewie za jakieś milion kroków. *Cholerny dupek* za kółkiem cholernego SUV-a. Nie lubię SUV-ów, to auta, które nie powinny były powstać. Kierowców bmw też nie lubię.

I komary pogryzły mi kostki, macham więc jak nawiedzona, gdy widzę jadącą ciężarówkę.

– Wskakuj. – Drzwi otwiera mi młody chłopak, kierowca, a ja gramolę się z wdzięcznością na fotel. – Mateusz. – Wyciąga dłoń do uścisku.

– Kaśka – przedstawiam się, odwzajemniając gest. – Powiedz, błagam, że jedziesz do Żerardówki? – pytam z nadzieją, a on ścisza radio i potwierdza.

– Ta, wiozę tam dostawę, chociaż pewnie ostatnią. Sprzedają pałac – oznajmia, a ja patrzę na niego ciekawa.

– Mają kupca? – dopytuję, kto jak kto, ale on może wiedzieć sporo.

– Ta, podobno nawet trzech – stwierdza, a ja czuję, jak włoski na ramionach stają mi dęba. Jak to trzech?!

– Aż trzech?

– Miała być jedna, jakaś Francuzka, ale podobno pojawił się kupiec z okolic i ktoś jeszcze, cholera wie. Stary Prucnal to aż łapy zaciera, nie myślał, że będą chętni, a tu niespodzianka. – Chłopak śmieje się, podczas gdy żółć podjeżdża mi do gardła.

– A ty? Pracy szukasz? – zagaduje, wtedy orientuję się, że musiał powtórzyć pytanie.

– Tak, chyba tak – mówię cicho, mój dobry humor pryska i nawet fakt, że skręcamy w drogę prowadzącą do pałacu mi go nie poprawia.

Patrzę przez okno na stare drzewa, majestatyczne, wielkie. Co zrobię, jeżeli nie kupię Żerardówki? Będę dalej szukała? Wydawało mi się, że temat mam dograny, posiadam korespondencję, rys umowy. Wszystko. I w sumie nic. Wcześniej czułam, że to będzie to. Moje miejsce na ziemi. Mimo że nigdy tu nie byłam, gdzieś wewnątrz mnie było przekonanie, że muszę to zrobić, muszę je zdobyć. Kiedyś babcia opowiadała, że w naszej rodzinie zawsze kierowaliśmy się przecuciami, instynktem i zawsze okazywało się to słuszne. Jakbyśmy były czarownicami.

– Hej, nie pękaj, na parę dni się zahaczysz, bo mają ostatnich gości i tych kupców, więc resto działa, a Julia rzuciła wczoraj robotę. – Patrzę na chłopaka, zastanawiając się, o czym mówi, wybiegłam myślami do przodu. – Do pracy, wezmą cię z pocałowaniem ręki – pociesza, a ja widzę, że mu się podobam, ale dla mnie jest za młody, nigdy nie gustowałam w młodszych mężczyznach.

Chcę coś odpowiedzieć, ale nagle widzę Żerardówkę. Jest... niesamowita, piękna, obłądna, przerażająca. Motyle pojawiają mi się w brzuchu jak na zawołanie, czarne myśli odlatują, a ja wiem, że choćbym miała zaprzedać duszę diabłu, będzie moja.

– Niezła, co? – dopowiada, chyba celowo zwalnia.

Chrząkam coś w odpowiedzi, zaschło mi w ustach. Jedziemy na tyły, z każdą chwilą jestem coraz bardziej zakochana. I bardziej przerażona. Miejsce jest... zaniedbane. Widzę to, na ścianach, w okiennicach, nawet na drodze. Nieoszlifowany diament.

– Chodź, przedstawię cię i zobaczymy – zachęca Mateusz, a ja wysiadam, zastanawiając się, czy brnąć w to dalej i sprawdzić, jak funkcjonuje wnętrze, czy iść się zameldować i na nowo stać się właścicielką LaVaillant Restaurant.

Zanim zdążę odpowiedzieć Mateuszowi, przez drzwi wybiega starsza kobieta.

– Powiedz, że masz te cholerne krewetki – rzuca w stronę chłopaka, jej fartuch jest estetycznie ubrudzony. Nie brudny, ale widać, że ciężko pracuje. Mnie na razie nie zaszczyca spojrzeniem. – Ten idiota wymyślił, że ugości tę trójkę owocami morza, jak Boga kocham, jakbyśmy nie mieli u nas dziczyzny i... – macha rękami, może mieć z pięćdziesiąt lat, od razu widzę, że jest świetną kucharką, to się czuje – ...a zresztą, pal to lichu! Potrują się, to będzie spokój. A to kto? – pyta, przenosząc badawcze spojrzenie na moją skromną osobę i taksuje mnie z góry na dół.

– Katarzyna Kalinowska – kłamię zgrabnie, a mój nowy znajomy dodaje, że szukam pracy jako kelnerka.

*Cóż, zostaję w tej roli, los zdecydował.*



– Idealnie, Julki nie ma, a Ania sama nie ogarnie, bo musi pomóc mi na kuchni. Umiesz podać do stołu? – pyta, a ja potwierdzam.

Mityguję, że kelnerowałam od lat, a ona wierzy mi na słowo, niezaprzeczenie zdesperowana. Umawia się ze mną na stawkę i dzień próbny, dodaje, że na umowę nie mam co liczyć, a potem wchodzę w brzuszysko pałacu, sama zaskoczona tym, jak szybko to poszło i jak bardzo „system polski” różni się od tego we Francji.

\*\*\*

Kucharka nazywa się Irena, pracuje tutaj od kilku lat, klnie na czym świat stoi, szczególnie na to, jak szef wymyśla i z czego każe jej gotować. Nie wiem, kiedy mam przed sobą talerz z zupą, mocny, aromatyczny gulasz, a w rękę bułkę, którą upiekła.

W międzyczasie Ania przynosi mi koszulę po mojej poprzedniczce, która jest na mnie o numer za mała, więc mam wrażenie, że moje piersi w niej są pięć razy większe. Ania jest słodka, chociaż męcząca przez szczebiotanie. Właściciela nie ma, podobno do kuchni nie zagląda, za to wymyśla menu.

Przeoglądam je na szybko, ucząc się dań z karty, która mnie nieprzyjemnie zaskakuje. Wymyślne potrawy, nie pasujące ani do kraju, ani do pory roku, z gotowych półproduktów, obstawiam, że na kartę Irena ma minimalny wpływ, a szkoda.

– Gulasz dziś poza kartą? – pytam, ale Irena wybucha śmiechem.

– Nie, kochanie, gulasz jest dla nas. Mój stary wczoraj był na polowaniu, to zrobiłam, tamci zjedzą krem z kalafiora z truflami lub zupę z owoców morza – informuje ze śmiechem.

Zaczynam myśleć, że stanowczo wolę być po tej stronie tacy. Żal mnie ściska, że ktoś jej kazał gotować z produktów, których nie zna i nie lubi.

– Mówisz po angielsku? – dopytuje, jednocześnie mieszając w garnkach.

– Trochę, dogadam się jak trzeba – odpowiadam.

Prysznic, który wzięłam chwilę wcześniej, chociaż chłodny, był błogosławieństwem, tyle że moje włosy robią teraz, co chcą, więc muszę je zapleść w warkocz. Kosmetyki i ubrania są już pewnie w moim pokoju, ale na razie absolutnie się tam nie wybieram.

– Skąd się właściwie wzięłaś? – Kobieta patrzy na mnie z nagłą podejrzliwością, nie lubię kłamać, ale jak się powiedziało „A” trzeba powiedzieć „B”.

– Przyjechałam do ciotki, ale ona wciąż biega do pracy, więc na razie chcę się czymś zająć – zbywam ją ogólnikami. – Podobno tutaj będzie nowy właściciel? – zmieniam temat.

Ania zabiera mi talerz, kończę zaplatać włosy, muszę przejść się na salę, aby wiedzieć, jak się poruszać, więc za chwilę skończy się mój czas na pogaduchy z Ireną.

– Pewnie tak, ale jak to kupi Kuźniak, to ja rzucam to w diabły – oznajmia, a w jej głosie słychać ukrytą groźbę. – Pieprzony magnat się znalazł. Uważaj na niego, bo wydaje mu się, że każda kobieta leci na kasę. – Nagle staje i patrzy na mnie. – A ty ładna i chyba niegłupia. Szkoda by cię było dla tego knura. Powiem ci, bo w sumie czemu nie. Drań się dorobił dawno, ale na gównie, a teraz chce wejść w hotelarstwo, bo to prestiż i może go wreszcie przyjmą w komitywę i nie będą patrzyli z pogardą. Tak to sobie wymyślił. A to, że, szlag, splunęłabym, ale w kuchni się nie pluje – parska. – Ale to kawał drania jest. Niejedna z dziewczyn się przekonała, jednej zrobił bachura i tak nastraszył, że z młodym wyjechała do rodziny za granicą. On nie chce wiejskiej dziewczyny, ino mu się marzy jakaś dama. Może i po to mu Żerardówka. Wielki, psia jego, pan się znalazł. – Kończy wywód i trzaska dłonią w blat.

Gdybym miała być szczerą, na miejscu Kuźniaka nie dotknęłabym żadnej z potraw, którą dziś gotuje Irena, na mojego nosa jest tu coś mocno osobistego.